

przedwojenną pensją męzowską, kiedy wszystko, nie wiedzieć ile razy podróżowało... I to przy trojgu dzieciach... Ale ja panią nudzę, a o czym innym chciałam mówić... Choć i to trochę należy do rzeczy... Właśnie mamy nowe zmartwienie i dlatego pragnęłam panią... z panią...

Zająknęła się. Nie łatwo jej widocznie było wypowiedzieć to, co zamierzała. Zebrała jednak całą odwagę i po chwili zaczęła rezolutniej:

– Widzi pani, to jest tak... My w tym domu mieszkamy już pięć lat i zawsze płaciliśmy regularnie. I teraz, chociaż nam tak ciężko – Bóg widzi, jak ciężko – nie zalegamy z czynszem... A mimo to pani Żarnicka wypowiedziała nam mieszkanie... Od pierwszego mamy wyprowadzić się...

Józia zmieszana się.

– Al! Tak... – bąknęła – świekra moja wypowiedziała państwu mieszkanie.

– I gdzie ja, proszę pani, tak od razu znajdę nowe mieszkanie... Zwłaszcza, że ja na piętrze nie mogę... Mąż chory na serce, a ja słabuję trochę na nogi... i te węgle!... A zresztą przeprowadzka!... Czy pani ma pojęcie, ile obecnie kosztuje przeprowadzka?... Skąd my na to weźmiemy!...

W głosie zmęczonej, spracowanej kobiety brzmiała nuta głębokiego żalu i zniechęcenia.

Józia spoglądała na nią ze współczuciem, ale nie miała pojęcia, co ma właściwie powiedzieć i czego pani Ogrodzińska od niej żąda.

– Czy pani to już przedstawiła mojej świekrze? – zapytała wreszcie.

– Ależ przedstawiałam!... Tłumaczyłam!... Prosiłam!... I nic... Pani Żarnicka utrzymuje, że jej mieszkanie nasze potrzebne!...

– Cóż więc ja na to poradzę? – powiedziała smutnie Józia.

– Ja właśnie chciałam panią prosić o wstawienie się za nami... Gdyby pani wiedziała, co dla mnie znaczy teraz w tych warunkach: przeprowadzać się!...

– Proszę pani, ja nic nie mogę! – wybuchnęła z całą szczerością młoda mężatka.

Ogrodzińska wpatrzyła się w nią uważnie i pokręciła niedowierzająco głową...

– Chyba pani nie chce... A takie ma pani dobre, słodkie oczy, że myślałam...

– Nie! nie! Pani się myli!... Jąbym chciała z duszy!... z serca!... Ale to nie pomoże nic...

– Przecież na prośbę synowej...

– Moja prośba nie będzie miała żadnego znaczenia.

– Gdyby pani jednak zechciała spróbować... – nalegała z uporem Ogrodzińska.

Józia była bliską płaczu. Na jej twarzy malowało się wahanie. Tak jej ciężko było odmówić!

Ogrodzińska podchwyciła to zaraz.

– Pani jest dobra, ja to widzę... Niech mi pani nie odmawia... Jakże bylibyśmy wdzięczni, bo naprawdę niewiadomo teraz, co robić... Dzieci tyle potrzebują...

Józia była już zdecydowana. Nie mogła przecież pozwolić na to, żeby ta, starsza od niej kobieta, matka dzieciom – dłużej upokarzała się, dłużej prosiła nadaremnie.

Młoda pani Żarnicka wstała, wyciągnęła rękę do stroskanej lokatorki swojej świekry i powiedziała wzruszona:

– Zrobię, co będzie w mojej możliwości, ale za skutek ręczyć nie mogę...

– Dziękuję pani, serdecznie dziękuję i... przepraszam.

– Do widzenia.

W przedpokoju zetknęła się Józia z dziesięcioletnią dziewczynką, która już od drzwi wołała:

– Mamusiu, szewc nie chce wziąć mniej, jak dziesięć koron... Powiada, że taniej nie może!

– Rany Boskie!... Dziesięć koron za zelówki do dziecięcych bucików!... Czy ten człowiek ma sumienie!... To niepodobna tyle płacić!...

– Kiedy ja już mam takie dziury! O! niech mamusia popatrzy – odpowiedziała płaczliwym tonem dziewczynka.

Z ciężkim sercem wracała Józia do domu. Nie wyobrażała sobie poprostu, jak ona ośmieli się zwrócić do świekry z taką prośbą...

Z góry przewidywała niepowodzenie. A jednak obiecała, więc musi. Jakże było nie przyrzec? Nie przyszło jej nawet do głowy, żeby tego przyrzeczenia nie dotrzymać.

Przecież jednak może... Jeżeli się jej uda wymownie odmówić położenie Ogrodzińskich... Czy się tylko uda...

Już miała zadzwonić, gdy nagle drzwi się otworzyły i ukazał się w nich ten sam wylegantowany, pachnący jegomością z rudawymi wąsami, którego, wychodząc z domu, spotkała na schodach.

I teraz zdjął w szarmanckim ukłonie kape-lusz i teraz zwinnym, elastycznym ruchem usunął się na bok, przepuszczając młodą kobietę.

– Ależ się wysiedział – pomyślała Józia. – To widocznie jakiś znajomy matki... Kto to taki?... Bo i ja go skądś znam, przynajmniej z widzenia!...

Dzięki tej długiej wizycie podano obiad trochę później. Józia miała czas przebrać się i uniknęła cierpkich wymówek świekry.

Przy obiedzie pani Żarnicka była w doskonałym humorze. Ciemne jej oczy błyszczały jakimś zadowoleniem, wesoło rozmawiała z córką, a nawet do synowej zwróciła się kilka razy łaskawym, niż zazwyczaj, tonem.

– Ożywia się nasze senne miasto – mówiła z ożywieniem – przybywają nowi ludzie... Zaczyna się ruch...

– Ten pan, który był dzisiaj u mamy, to, zdaje się, także jeden z tych nowych ludzi – wtrąciła Lola.

– Tak. Przyjechał niedawno. Bardzo miły człowiek i poznać, że energiczny i przedsiębiorczy... Świetnie wynajęłam mu to mieszkanie parterowe, za które mi Ogrodzińscy tak nędznie płacili!...

Józia poruszyła się niespokojnie na krześle, ale pani Żarnicka nie zwróciła na to uwagi.

– Więc mamusia już z nim ostatecznie zawarła umowę?

– Tak jest. Bardzo jestem zadowolona. Kilku takich lokatorów, a inaczej będą wyglądały nasze interesy.

Synowa uznała, że teraz jest właśnie stosowny moment do wtrącenia słowa o Ogrodzińskich!...

– Ale coż zrobić ci państwo Ogrodzińscy? – podjęła nieśmiało. – Może nie mają jeszcze innego mieszkania i... ja słyszałam, że przeprowadzka teraz bardzo dużo kosztuje...

Teściowa spojrzała zdziwiona.

– A niechże sobie robią, co chcą. Cóż mnie do tego.

– Oni są bardzo biedni... – mówiła dalej Józia, a głos jej nabierał coraz gorętszych tonów. – Pani Ogrodzińska taka wąła, delikatna, a sama dźwiga węgle i wszystko robi w domu... Nawet na buciki dla dzieci nie mają, a przecież czynsz płaci regularnie!...

Wargi pani Żarnickiej zadrgały i zacisnęły się. Spojrzenie zimne, przenikliwe wbiła w twarz synowej.

– Skądże ty o tem wszystkim wiesz i dla czego z tem tak nagle wyjeżdżasz?! Cóż to ma znaczyć?

– Rozmawiałam z panią Ogrodzińską... Oповідаła mi, jak im jest ciężko i że bardzo pragnęliby pozostać w mieszkaniu, gdyby...

– Tak?... A czy zdążyłaś się już także porozumieć z moimi sługami i pobuntować je? A inni lokatorzy jakież mają wymagania?... Jesteś już o tem poinformowana? – zadrwiła pani Żarnicka. – Piękny, obiecujący początek!... Płotki i konszachty z lokatorami!... No co prawda, mogłam się spodziewać!...

Józia naprzemian bladła i czerwienila się.

– Ja nie robię plotek!...

– Może być, że, przy twoich wyobrażeniach i twojem wychowaniu, tego rodzaju konszachty są rzeczą zwykłą, ale nie u mnie, nie w moim domu! Rozumiesz!... Wypraszam sobie raz na zawsze, ażebyś kiedykolwiek!...

Lola pociągnęła matkę nieznacznie za suknię, bo właśnie Joasia wniosła półmisek z pieczysem.

Panna Żarnicka ze zdumieniem spoglądała na bratową, a w oczach jej można było wyraźnie wyczytać pytanie: Czyś ty oszalała?!

Obiad dobiegł końca w milczeniu, a dla Józii stał się nieznośną torturą. Czując na sobie przedziwnie pogardliwe spojrzenie świekry, z trudnością przełykała kęski pieczeni, a deserem o mało co się nie udławiła.

Nie czekając herbaty, którą podawano u pani Żarnickiej po obiedzie, wstała od stołu i wyszła do swojego pokoju.

– Bezczelna! – syknęła za nią teściowa. – No! ale poczuje ona na sobie moją rękę!

– – – – –
Lola zaraz po obiedzie pospieszyła do bratowej.

Józia siedziała przy stole. Głowę wsparła na rękach i dłońmi przysłoniła sobie oczy.

– Józio!...

Młoda kobieta podniosła głowę. Miała jakieś mętne spojrzenie i była bledziutka, jak listek białej róży.

– Ach! To ty, Lolu!...

– Co ci to!... Słabo? Taka jesteś blada!...

– Nie! Nic mi!...

– Tak się pewnie przejęłaś tem, co mama powiedziała? E! Wrażliwa jesteś, jak mimozal!... Chociaż tym razem jesteś sama sobie winna. Ziniłujże się, co tobie znowu strzeliło do głowy, żeby gadać o tej Ogrodzińskiej?...

– To jest czysta prawda, co powiedziałam!...

– Przypuśćmy, ale, co ciebie obchodzi jakaś pani Ogrodzińska? – mówiła Lola, siadając wygodnie na kanapce.

– Prosiła mnie, żeby się wstawić za nią!...

– O naiwna istoto! I tyś doprawdy myślała, że coś uzyskasz od mamy?!

– Wielkiej nadziei nie miałam, ale myślałam, że może... może... A zresztą przyrzekałam!...

– Strasznie jesteś egzaltowana! Radzę ci, wyzbądź się tego!... Przez taką egzaltację musisz popełniać dziesiątki głupstw!...

– Tak... w całym życiu mojem robiłam zawsze głupstwa – przyznała otwarcie i bez żadnej urazy bratowa.

Lola mimowolnie uśmiechnęła się.

– Jak ty prosto, szczerze i... ładnie mówisz!...

Niemniej głupstwo pozostaje w użyciu głupstwem!... Na przykład w tym wypadku!... Takżeś się wybrała!... Nigdy ja, ani Konrad, nie ośmielilibyśmy się wtrącać do czynności mamy, a ty nagle!...

No i coż... Nie pomogłaś tej tam pani, a sobie zaszkodziłaś bardzo – o! bardzo!...

Józia spłotła na kolanach ręce i milczała zgnębiona.

– Twój pomysł wstawiennictwa był zresztą z samego założenia nierozsądny – ciągnęła dalej panna Żarnicka spokojnym tonem pewnej siebie wyższości – mama postąpiła zupełnie słusznie z tem mieszkaniem!... Nasza kamienica nie jest instytucją filantropijną i mieszkanie wynajmuje się temu, kto najlepiej zapłaci!...

– Ale widzisz, teraz takie niezwykle stosunki!... Wojna!...

– Każdy niech sobie radzi, jak chce i może!... Nie powiadam zresztą, żeby zamykać zupełnie rękę dla biednych, ale tracić bez potrzeby!... Chyba mi przyznasz po zasłanowieniu, że mam rację!...

– Może i masz rację, ale ja znam ludzi, którzyby w tym wypadku inaczej sądzili – odpowiedziała Józia, myśląc o Walczakach.

– To chyba tacy, co nic nie mają, albo bardzo bogaci, którzy mogą sobie pozwalać na fanaberye!... – zadecydowała Lola.

Józia nic nie odpowiedziała. Nie posiadała żadnych wyrozumowanych zasad, nie prowadziła nigdy dysput na temat zagadnień społecznych i argumentować nie umiała, a kierowała się tylko instynktem dobrego, wrażliwego serca.

Coś ją wszakże raziło w poglądach, wypowiedzianych przez Lolę – i przenikało ją mocne poczucie, że szwagierka nie tylko nie zastąpi jej nigdy Aniëlki, ale, że o prawdziwej przyjaźni między niemi mowy być nie może.

– Pomyśl sobie – podjęła Lola rozmowę po długiej chwili milczenia – nowy lokator zapłaci mamie trzy razy więcej!...

– Któż to taki? – zapytała Józia więcej dla podtrzymania rozmowy, niż ciekawości!...

– Nazywa się: czekaj... jakoś tak... Poto... Pota!... Aha! już wiem: Potyrowski.

– Potyrowski?... – powtórzyła Józia, a dźwięk tego nazwiska wywołał jej nagle przed oczyma postać eleganckiego jegomościa, spotkanego na schodach.

Tak! Przypomniała sobie już dokładnie, że w Pradze nazywano tego pana Potyra-Potyrowski i jakieś dziwne szeptało sobie o nim rzeczy!...

Niewiele ona na to zwracała wówczas uwagi, ale coś się jej przecie obito o uszy.

– To ten pan łysawy, taki strasznie elegancki i wyświeżony, z rudawym wąsem!... Prawda?

– Tak. Chce tutaj otworzyć biuro handlowo-komisowe i właśnie mieszkanie Ogrodzińskich jest mu dogodnie!... Mama bardzo go chwali!... Powiada, że ma maniery bez zarzutu!... Podobno jest z bardzo dobrej rodziny!...

(Ciąg dalszy nastąpi)